

AMELIA SAWA

ur. 1925; Siedliszcze



| | |
|-------------------------|----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|
| Miejsce i czas wydarzeń | Lublin, Siedliszcze, dwudziestolecie międzywojenne, PRL |
| Słowa kluczowe | Lublin ; Arciszowa, Wacława (1870-1953) ; Siedliszcze ; Kozice Górne ; Warszawa ; Trawniki ; Mogielnica ; Zielonka (k. Warszawy) ; dwudziestolecie międzywojenne ; dzielnica Kośminek ; ulica Nowa ; ulica Cicha ; ulica Lipowa ; ulica Spokojna ; ulica Spacerowa ; ulica Świętoduska ; ulica Sucha ; ulica Długa ; ulica Kapucyńska ; ulica Narutowicza ; Stare Miasto ; Stare Miasto w Warszawie ; Rynek w Warszawie ; targ przy ulicy Świętoduskiej ; rodzina i dom rodzinny ; Romowie ; Ukraińcy ; stosunki polsko-żydowskie ; szkolnictwo ; moda damska ; życie codzienne ; życie kulturalne ; dzieciństwo ; harcerstwo ; moda szkolna ; edukacja ; mieszkańcy Siedliszcza ; mieszkańcy Trawnik ; Szkoła Podstawowa nr 16 w Lublinie ; Szkoła Podstawowa w Siedliszczu ; Prywatne Gimnazjum Wacławy Arciszowej ; koleżanki ze szkoły ; Żydzi ; Żydzi w Siedliszczu ; cukrownia w Trawnikach ; Zamek Królewski w Warszawie ; życie polityczne ; PPR ; Polska Zjednoczona Partia Robotnicza ; szkoła ; wspomnienia o rodzicach ; wspomnienia o ojcu ; stosunki polsko-ukraińskie ; UMCS ; Uniwersytet Marii Curie - Skłodowskiej w Lublinie ; pan Kawa ; Dyjak, Andrzej ; Dyjak, Waleria ; Jankowski, Andrzej ; Krzysiak, Antonina ; Krzysiak, Helena (1905-1997) ; Krzysiak, Jan ; Krzysiak, Józef (1899-1992) ; Krzysiak, Zenon (1929-1986) ; Mościcki, Ignacy (1867-1946) |

1. Siedliszcze z dzieciństwa

To był dom państwa Piotrowskich. Bardzo taka miła, sympatyczna rodzina. Dzieci tam nie było w domu, bo wszystkie studiowały w Warszawie. Więc taki poziom był dość wysoki. Domek był drewniany i naprzeciw dawnej gminy Siedliszcze. Teraz właśnie niedawno, ze dwa czy trzy lata temu wybrałam się z moim synem, żeby mu pokazać wiele tych wspomnień z mojego życia. No i właśnie pierwszy raz zastaliśmy ten dom, jeszcze stał, a drugi raz przyjechaliśmy, już go nie było. Bo sprzedano ten dom innym osobom i wybudowany został inny duży dom. Siedliszcze słynęło z tego, że to było takie typowo żydowskie miasteczko. Jak normalnie te małe miasteczka. Ja nawet pamiętam nazwiska niektórych Żydów. Był taki Kruk, który miał magazyn metalowych różnych rzeczy, z których ojciec mój czerpał. I zawsze chodził do tego Kruka zamawiać różne pręty potrzebne do wykonania jakiejś pracy. A drugi był..., no już mi uciekło z głowy. Ale też sobie przypomnę na pewno. Drugi był takim

sprzedawcą bardzo pięknych materiałów bielskich. Materiały bielskie przed wojną były bardzo cenione, bo były nawet wykupywane przez Anglików. I udawali Anglicy, że to są ich materiały. My mieliśmy bardzo dużo przyjaciół, bo ojciec miał te kontakty. Pamiętam, że naprzeciw tego, gdzie była gmina, to obok mieszkała taka pani, która prała i prasowała. To tam ciągle żeśmy chodzili. No bo mama miała zajęcie, nie zawsze mogła to zrobić. Poza tym była jeszcze taka rodzina państwa Domańskich. Jeden miał galanterię, sklep z galanterią, drugi był rzeźnikiem i trzeci też był rzeźnikiem, tak. To pamiętam ich, bo mieliśmy też takie dobre kontakty.

2. Wspomnienie o ojcu

Mój ojciec, no, był dobrze sytuowany. Więc wracał z pracy, to... No panowie nie chodzili w kurtkach wtedy, tylko taki tak zwany frak, taki płaszcz gabardynowy. Ten płaszcz miał guziczki i na każdym guziczku miał jakąś paczuszkę zawiązaną. Bo tato nie mógł sobie ze wszystkim poradzić, tyle nosił sprawunków. Miał tu pełno w jednym ręku, drugim. Na Pradze była taka słynna cukiernia Turka. Turek założył. No i niesamowite, pyszne były ciasta. I ojciec woził te ciasta tak, żeby się nie popsuky na tych guziczkach. To było takie trochę śmieszne, jak wchodził, to taki ozdobiony jak choinka był. Ale mój ojciec, to była taka dziwna sprawa, jak on był młodym człowiekiem, spotkał się z jakimiś ludźmi, którzy wmówili w niego, w mojego ojca, że Partia Robotnicza to jest najlepsza partia świata. A mój ojciec chciał zawsze wszystkim dobrze zrobić. Moja mama nawet miała żal o to do ojca, że wszystkim pomaga, wszystkim chce właśnie dobrze zrobić. Poświęca siebie i czas, i wszystko. To nawet mama się denerwowała, że to za dużo już tego było. Więc, jak ojciec usłyszał, ile to dobroci, ile dobra płynie z tej partii, to uwierzył w to jako młody człowiek. No i pamiętam w Warszawie spotkał też takich ludzi, którzy po tej stronie byli i organizowali różne spotkania. To były oczywiście trudne czasy na owe sytuacje, bo policja bardzo przestrzegała tych przeciwników. Dlatego ojciec chodził na te spotkania ze mną. Ja byłam małą dziewczynką. I zawsze szedł ze mną, na rękę mnie trzymał, bo wtedy jeszcze nie wszyscy mieli wózki. No i chodziliśmy razem na spotkania, czyli można powiedzieć, że ja brałam już czynny udział w akcji politycznej. Ale mało tego, ta organizacja również miała swój teatr na Pradze. I właśnie ojciec został zaproszony do tego teatru. A ponieważ to też było niebezpieczne, więc ja stanowiłam jego ochronę. No bo jak trzymał dziecko, to znaczy, że nie ma innej roli, tylko niańczenie. I weszliśmy do tej..., pamiętam dokładnie, jak to było. Teatr, ciemno i kurtyna była cała czerwona, jako że to czerwoni. A na tej kurtynie była przyczepiona róża. Ja potem dopiero sama sobie to dokombinowałam. Bo nie wszystko rozumiałam jeszcze, bo byłam małą dziewczynką. Dokombinowałam potem, że to była „Róża” Żeromskiego. I to rzeczywiście miało tytuł „Róża” tak. Mnie to może mniej interesowało, no ale wszyscy przesiedzieli, potem była jakaś nagonka, więc wszyscy uciekali, a mój ojciec szedł spokojnie, bo miał dziecko na rękę.

3. Między popem a księdzem

W szkole w Siedliszczu było dużo Ukraińców, przeważnie ukraińskie dzieci. To były takie bardzo skromne te dzieci, takie ciche, pokorne, no przestraszone. Nie było takich hulaszczuch. I przychodzili na religię, do nas przyjeżdżał ksiądz z Siedliszcza, a do tych przyjeżdżał pop. I miałam taką sytuację, że na ganeczku siedziałam, czekałam na naszego księdza, a tu przyszedł już pop. I ten pop porwał mnie na rękę. A miał taką długą brodę. I wziął mnie na lekcję. Ja się denerwowałam, co mi powie ksiądz. A siedziałam tak przy tej brodzie, tak się bałam tego. I on miał taką głęboką kieszeń. Sięgnął do tej kieszeni, wyjął taką garść grosików pięć, dwa, jeden. I tak mnie tam przytulał, tak ze mną rozmawiał. I mówi tak: „Liczy. Ile policzysz, to twoje” Ja liczyłam, liczyłam, ale powiedziałam, że to nie są moje, tylko policzyłam mu je. No i ja się denerwowałam, że może już przyszedł ksiądz, a ja siedzę u popa na kolanach. No i w końcu tak się złożyło, że ten ksiądz bardzo spóźnił się jakoś, bo coś tam było, nie pamiętam. No i w końcu udało mi się wyjść z tej klasy. I ksiądz się dowiedział o tym, bo dzieci powiedziały, że pop ją porwał. I ksiądz się pytał: „Dlaczegoś poszła?” A ja na to: „Ja nie poszłam, tylko porwana zostałam” To było takie „porwanie w Tiutiurlistanie”

4. Szkoła w Siedliszczu

Ja tam chodziłam do czwartej klasy i do piątej. Potem wyjechaliśmy stamtąd i już nie chodziłam. Mam nawet zdjęcie z tego Siedliszcza, jak pracujemy w ogródku szkolnym. To widać na tym zdjęciu, jakie mam bogactwo rzeczy. I pan dyrektor, kierownik szkoły jest na zdjęciu i jest moja pani wychowawczyni. Ta pani wychowawczyni..., jak ona się nazywała? Może sobie przypomnę, nie wiem. Siedziałam z panną Żukowską, córką młynarza, tak. Potem mnie zmieniono i ze mną siedziała ta Żydówka. W drugiej ławce, ponieważ ja byłam nieduża, więc siedziałam w drugiej ławce. I ta Żydówka nazywała się Sura Bajter. I ja mam ją nawet w pamiętniku, dlatego że dałam jej pamiętnik, żeby mi się wpisała. I ona mi się wpisała. „Na górze róże, na dole bez, kochajmy się jak dwie aniołki. Sura Bajter” To była duża szkoła. Umieszczona była w budynku, w którym mieszkał dziedzic kiedyś. To był dwór i duży teren i te ogródki szkolne potem były. I to był budynek jednopiętrowy, ale bardzo taki rozległy. I bardzo duża, siedmioklasowa szkoła. Dużo klas było. Bo to z całej gminy dzieci chodziły, które chciały studiować siódmą klasę. A te wszystkie, co były w Mogielnicy, to kończyły na trzecioklasówce.

5. Harcerstwo

Harcerstwo to była taka moja pasja. W szkole prowadziła je pani wychowawczyni, dyrektora żona, która też taka była bardzo „harcerska” No i tam byli tacy starsi chłopcy i dziewczęta, którzy prowadzili zajęcia z nami. To było, dla mnie to była bajkowa sprawa. Ciągłe pędziłam na te zbiórki. Miałam taki piękny mundurek, mama mi zrobiła. Bo wszystkie dzieci miały mundurki takie z bawełny, szare. A mnie mama

u tego Żyda kupiła szary kolor z pięknej wełny. Ja miałam przepiękny strój, mundur ten harcerski, ale takiej klasy szczególnej. Zaraz, jak ten Żyd się nazywał..., przypominę sobie na pewno, bo przecież pamiętam jeszcze jego, a uciekło mi w tej chwili. I właśnie ja, jak przyszłam kiedyś na zbiórkę harcerską, no to żeśmy poszaleli tu i ówdzie. My na sankach wtedy jeździliśmy. Ale to był już taki brzask wiosny. I tam przy szkole płynęła rzeka. No i chłopcy namówili nas na te sanki. Zjeźdzaliśmy z góry, mogliśmy zjechać i do rzeki. No i taka była sytuacja, ponieważ już taka odwilż się zaczynała, więc jak ja zjechałam tymi sankami w dół, to siedziałam w wodzie. Bo tylko posypane było tym śniegiem, a tam już woda była. I cały ten mundurek przepiękny zmoczyłam. To bardzo się tym denerwowałam, bo moja mama zaraz, cóż, reakcja była odpowiednia do sytuacji. Więc tak się denerwowałam. To ta pani kierownik, żona tego pana kierownika, zaprosiła mnie do kuchni, zapaliła kuchnię, ja stałam na taboreciku i tak się suszyłam. No, to były zbiórki bardzo przyjemne, bo tam były i piosenki, i robiliśmy zabawy, no i takie różne podchody były, pamiętam, i tak dalej. To były naprawdę przyjemne rzeczy.

6. Jarmarki przy ulicy Świętoduskiej

Ja pamiętam, że syn tego gospodarza, z którym byliśmy zaprzyjaźnieni, często jeździł ze swoim towarem. Jakieś produkcje miał, zboże, tam jakieś inne rzeczy woził do Lublina na ulicę Świętoduską. I tam są takie numery: sześć, osiem, dziesięć. I tam się wjeżdżało na to podwórko i przy każdym tym wjeździe była taka mała restauracja dla tych wieśniaków. Tam gotowano im obiady. No bo oni handlowali, sprzedawali, no i chcieli sobie tak trochę uprzyjemnić żywot. I takie im gotowano a to kielbaski, a to co innego. I warto to teraz tam zobaczyć, jak się wejdzie w bramy, tam są takie przestrzenie i tam pełno było tych wozów wieśniaków i tam odbywały się takie handle. A po przeciwnej stronie, no to jest ten plac, co tam pomniki są na Świętoduskiej. To tam kiedyś były takie jarmarki, tak. Ja nawet mam takie zdjęcie z tego jarmarku.

7. Szkoła Wacławy Arciszowej

Ta szkoła znajdowała się na [ulicy] Kapucyńskiej, róg Kapucyńskiej i Narutowicza. To był bardzo piękny budynek z takimi popiersiami zrobionymi. A teraz to jest okropna stara rudera. Ale jak ja chodziłam do tej szkoły, to był przepiękny budynek. I mówiono dawniej, jeszcze dzisiaj wspominają wszyscy, że Arciszanki były najpiękniejsze. A drugi szacunek wielki był dla uczennic z Unii Lubelskiej. To była taka super szkoła, no... na wysokim poziomie podobno. Ja nie chodziłam tam. A Unia tam była, gdzie jest teraz UMCS, no pedagogika, tak. O, tam gdzie była Unia też ten dom był piękny, a teraz taka rudera! Brudna, zaniedbana... Wszystko na nic. Szkoła pani Arciszowej to były tak: pierwsza, druga, trzecia, czwarta gimnazjum, a potem dwie licealne były. Było dość dużo uczennic. Ale to były wszystko arystokratki. No i ja, skromna dziewczyna. I moja koleżanka druga była skromna. Pokażę Pani na zdjęciach, mam

trochę zdjęć, to znaczy nie całej klasy, bo wtedy jakoś nie zrobili nam. Mieliśmy białe czapeczki z takim czerwonym tu paseczkiem. I musiałyśmy mieć zawsze jednakowy strój. Spódniczki, białe bluzki, kokardy takie nie pąsowe, nie cyklamen, tylko to się nazywały inaczej. Zapomniałam, jak ten kolor się nazywał. Nie cyklamen. Ale w takiej tonacji był. Jezu... amarant! Amaranty. Te czapeczki. To była kokarda amarantowa i tutaj paseczek. Tak że byłyśmy takie bardzo widoczne, bo ubrane faktycznie w barwy narodowe, biało-czerwone. I taki pamiętam fragment mojego przeżycia, kiedy pojechałyśmy na wycieczkę, do Gdańska, do Sopot, do Gdyni. I idąc ulicą z panią swoją opiekunką, zaczęłyśmy być obrzucane jakimiś kamieniami czy czymś. Okazało się, że to *Hitlerjugend* już działał wtedy, a to był [19]38 rok, i nie mogli znieść naszych kolorów. Bo myśmy miały te przepiękne barwy polskie. Do szkoły pani Arciszowej chodziła też Żydówka, tylko ja zapomniałam, jak ona się nazywała. Nawet taka ładna była ta Żydówka. Ona mieszkała przy ulicy Cichej. Wiem, w którym mieszkaniu nawet. Na parterze wszystkie okna były jej mieszkaniem. Ta szkoła, szkoła pani Arciszowej była droga, dużo się tam płaciło. Bo zdaje się, że stawka wynosiła sto dwadzieścia czy sto czterdzieści złotych miesięcznie. To porównywalnie, żeby mieć wyobrażenie, to nauczyciel takiej podstawowej szkoły zarabiał sto dwadzieścia złotych. Ponieważ kolega mojego ojca miał znajomego pana dyrektora szkoły... A już chciałam powiedzieć nazwisko, zapomniałam. W każdym razie ten kolega ojca załatwił mi, że ja płaciłam znacznie mniejszą sumę.

8. Koleżanki ze szkoły pani Arciszowej

Oczywiście w szkole pani Arciszowej miałam dużo koleżanek. Ojciec jednej był kolejjarzem. A ponieważ przed wojną kolejarz dużo zarabiał, cenionym był człowiekiem, to była taka awangarda. Poczta, kolej, to byli asy pierwszej klasy. To ona chodziła i chodziła jeszcze ze mną koleżanka, Marysia Szejbalówna się nazywała, która mieszkała w Nałęczowie. I ona mnie zaprosiła do Nałęczowa przed wojną. I pamiętam, szłyśmy przez tę ulicę Lipową, na której mieszka teraz mój syn. I jaki dziwny zbieg okoliczności, szłyśmy, oglądałyśmy te wszystkie domy i nagle ja stanęłam przy tym domu, co teraz mieszka mój syn. I stałam długo i wpatrywałam się. I ta Marysia mówi: „Co się tak gapisz tutaj?! Co cię tak tu ciągnie?!” Ja nie wiem, ale ja długo na ten dom patrzyłam. A jej mama była akuszerką. A jej babcia miała piękne nazwisko i nie mogę sobie tego nazwiska przypomnieć. Ale muszę zadzwonić do jej rodziny, bo ona już nie żyje. Odwiedziłam ją, nawet zdjęcie jej zrobiłam i za parę miesięcy zmarła. A znalazłam ją po tylu latach. Bo nie wiedziałam, co się z nią stało po wojnie. I odnalazłam ją, ona mieszkała koło tego dużego budynku szkoły, Biskupiaka. I został tam jej syn jeszcze. Mam do niej telefon, jeszcze mi został. I zadzwonię, dowiem się, bo piękne nazwisko miała babcia i ta babcia miała trzech synów i ci synowie byli lotnikami. To było dla nas takie niesamowite. A mieszkała na ulicy Spacerowej tu w Lublinie w takim bardzo pięknym, nowo wybudowanym domu piętrowym. Zawsze zazdrościłam jej, że tam mieszka. Taki piękny dom. Bo ja miałam,

no gorszy znacznie, bo stary dom. No sporo tych koleżanek, ale już w tej chwili... I jedna koleżanka jeszcze była, jak ona się nazywała... też Żydówka. I dwa lata temu zmarła dopiero. I wiem nawet, gdzie mieszkała. Na Lipowej ulicy, po tej stronie, gdzie policja była. To był ten narożny blok i tam są takie balkony półokrągłe. I nie pamiętam tylko, czy na pierwszym, czy na drugim piętrze. A jak się nazywała, no to ja sobie przypomnę, bo to wiedziałam. Zresztą żyje jeszcze moja koleżanka, która ze mną była w klasie. Bardzo ładna dziewczyna była. Ale ja nie czułam do niej sympatii, dlatego że ona z pozycji na mnie patrzyła, bo była wysoka, a ja byłam mała. Ona teraz przebywa u siostr na Ogrodowej, bo już ciężko chora jest. Tam jest pod opieką. I nazywała się Herbut, o.

9. Jeszcze o rodzinie i dzieciństwie

Urodziłam się w 1925 roku, 11 listopada. Dziwna data, prawda? Bo to wypada data rewolucji październikowej. Przeminięło z wiatrem, wszystko się skończyło dla mnie. Więc ja urodziłam się w małej miejscowości na terenie ziemi chełmskiej, w Siedliszczu. Ojciec posiadał taki zakład mechaniczny. Taki był majster-kleпка, wszystko potrafił zrobić. Miał niesamowite pomysły na nowe maszyny, urządzenia. Powstałam z wielkiej miłości moich rodziców. Co prawda nie byłam pierwszym dzieckiem, bo pierwsze dwie dziewczynki urodziły się i niestety zmarły po trzech miesiącach życia. Ale podobno były bajkowo piękne i urocze, więc wszyscy się zachwycali nawet takimi małymi dziećmi. Rodzice pobrali się w [19]23 roku. Byłam bardzo żywym dzieckiem, takim do tańca i różańca, wszędzie było mnie pełno. Był taki przypadek, że moja mama jakoś się zajęła różnymi sprawami, a ja sobie wyszłam z domu i poszłam. Mama szukała mnie wszędzie, za budynkami, nad rzekę pobiegła, do studni i nie mogła mnie nigdzie znaleźć. W końcu zrozpaczona wypadła na ulicę, zobaczył kobietę i pyta ją z płaczem: „Czy pani nie widziała takiej małej dziewczynki?” „Tak, tak, widziałam. Na rynku stoi, otoczona, pełno Żydów i z nią rozmawiają” Mama się tym przestraszyła i na drugi dzień, żeby potem mieć bezpieczniej, poszła ze mną do zdjęcia, żeby w razie czego można było odnaleźć to dziecko. Tak że byłam taka dość żywotna od początku. Dużo zawdzięczam moim rodzicom. To byli bardzo mądry ludzie, nie dlatego, że mieli wysokie wykształcenia, ale wychowawczo byli fenomenami. Dlaczego? Dlatego, że jak się urodziłam, to dziękuję bardzo mojemu ojcu, bo to on wyszukał dla mnie imię. A dlaczego tak się stało? Bo właśnie mój ojciec, mając siedemnaście lat, uczył się pracy mechanicznej u takiego pana w Żukowie. Bardzo sympatyczna rodzina, bo poznałam ich później. I tam taki był zwyczaj bardzo dobry. To też będzie należało do tych sytuacji, jak ludzie żyli. Tam była pani, żona tego pana Kosza. On się nazywał pan Kosz. I ta pani Koszowa pochodziła z rodziny ziemiańskiej, ale takiej skapitulowanej. Więc wyszła za mąż za tego pana. Pan nie był żadnym ziemianinem z wysokiej sfery, ale wygląd jego był z wysokich sfer. Miał taką hiszpankę i taka postawa była rzeczywiście męska, to wybitnie męska osoba. No i właśnie tam był taki piękny zwyczaj w tej rodzinie, że

wszyscy pracowali, potem była kolacja, a po kolacji był wieczór literatury polskiej. Czego u nas się teraz już nie spotyka, takich sytuacji. I właśnie tam się takie toczyło życie naturalne, pełne ciepła, wytworności, no i takiej „polskości” I właśnie jeden wieczór zaważył na tym, że ja mam Amelia, bo był poświęcony Słowackiemu. A ponieważ Słowacki napisał wiersz do Amelii, to ojciec tak sobie upodobał to imię, że z chwilą, kiedy ja się urodziłam, przeznaczył mi je. Także nawet takie imię ma swoją historię. Więc nazywam się Amelia, dodatkowo Krystyna i Sawa teraz. A przedtem nazywałam się panna Krzysiakówna. Nawet dyplom magisterski mam na to nazwisko, dlatego że miałam duży szacunek i uznanie dla moich rodziców. Poza tym z chwilą, kiedy się urodziłam, to rodzice zaczęli myśleć o tym chrzcie. Kogo to wybrać, jaką osobę godną dla dziecka. No i tam był właśnie taki bardzo ciekawy pan Barszczewski, który był lekarzem. I rodzice zdecydowali, że on będzie moim chrzestnym. A chrzestną pozostała żona pana dyrektora banku. Pani Tumiłowa. Taki był pan dyrektor banku, Tumiła się nazywał. Mój ojciec był jedenastym dzieckiem swoich rodziców. Mieszkali w miejscowości Chojno Nowe. Dziadek miał po prostu gospodarstwo rolne. Był jednym z bogatszych rolników. Ale ponieważ miał dwanaścioro dzieci, to tę ziemię po zagonku podzielił i nie było już tak dużo. Bardzo często tę rodzinę odwiedzałam, bo to byli bardzo kochani ludzie. Oni się tak wszyscy kochali, że wie Pani, ja aż dziwiłam się, już nawet jako dziecko. Wielka troska o każdego. Ta miłość była niesamowita. Jak ktoś wyjechał, nawet do Siedliszcza, bo to dziesięć kilometrów było, no to przeżywali, jak on tam przyjedzie, czy by chociaż szczęśliwie... Chociaż wtedy samochód jeden na godzinę jechał. A jednak byli tacy bardzo, bardzo zatroskani o siebie i byli bardzo szczodrobliwi dla innych. Wie Pani, jak się wyjeżdżało to szukali po prostu namiętnie czegoś, czym można by obdarzyć. No niesamowita rodzina. To już nie ma takich na świecie chyba. Ja tam przyjeżdżałam bardzo często i bardzo chętnie. Te ciocie wszystkie miały problem ze mną. Pytały: „Co ty byś zjadła, na co masz chęć, o czym ty marzysz, żeby zjeść?” A ja im ciągle mówiłam, że mnie najbardziej smakuje czarne kluski. A czarne kluski to były z razowej mąki. I ja u nich kiedyś takie zjadłam. W domu się tego nie jadło. I mnie to bardzo smakowało. To było bardzo zdrowotne zresztą. No wszystko tam było miłe i piękne. Bardzo serdecznie wspominam to, pobyty tam i te moje ciocie. Tam w tej miejscowości Chojno Nowe to była cała rodzina. Dlatego skoro ich było dwanaścioro, jak się poženili, znowu mieli po sześcioro, ośmioro, to myśmy nie nadążali odwiedzić połowy nawet. Tak było tej rodziny dużo. I takiej właśnie wspaniałej, takiej dobrotliwej.

10. Przez chwilę w Warszawie

Moja mama miała na imię Helena, ojciec Józef. Mam ich zdjęcia i można tam zobaczyć, jak wyglądali panowie dawni. Piękne futro na sybetach, wydra kanadyjska. Teraz czy pan dyrektor, czy pan doktor, czy ten, co stoi pod kioskiem jednakowo są ubrani. To jest nie do zniesienia dla mnie. Ponieważ ojciec był bardzo utalentowanym

człowiekiem, zaproponowano mu pracę w Warszawie w firmach samochodowych. Fiat polski, Citroen i jeszcze w dwóch. Tak że był rozrywany w tych firmach, każdy chciał skorzystać z takiego dobrego pracownika. W tej wytwórni miał jakąś wysoką klasę, no bo bardzo wszystkim na nim zależało. Był bardzo utalentowany w tych sprawach. Rano jak wstawał, mówił: „No, całą noc nie spałem, ale wymyśliłem maszynę” I zawsze budził się z nowym pomysłem. To było niesamowite. Moja mama nie była tym zachwycona, no bo ciągle coś działał i działał. Zawsze mówiła: „Uspokój się, daj już temu spokój!” Ale ojciec nie dawał spokoju. I bardzo dobrze zarabiał przed wojną w tych firmach samochodowych. Mieszkaliśmy na Starówce, a mój ojciec zawsze był bardzo zatroskany o zdrowie, życie dzieci. Więc powiedział: „Nie możemy mieszkać w Warszawie, dlatego, że tu za dużo jest samochodów” A było ich naprawdę mało wtedy, ale ojciec uważał, że to już jest trujące. I wymyślił, że będziemy mieszkać pod Warszawą koło Zielonki. Zielonka to była taka stacja, tam się wysiadało i szło się przez piękny las i dopiero dochodziło się do tego miejsca, gdzie ojciec tam w takiej willi drewnianej wynajął mieszkanie. I w tej willi mieszkało dużo takich sympatycznych ludzi. Oni przyjeżdżali tam na wypoczynek raczej, ale myśmy mieszkali tam na stałe. I ponieważ tam później się urodził mój brat, to mama zaprosiła swoją siostrę do pomocy, żeby pomogła jej. I miałam taką wspaniałą nianię, ciotkę Zosię, która potrafiła pięknie malować, rysować, wszystko umiała uszyć. No i jeszcze robiła przedstawienia. Gromadziła masę dzieci, no i przedstawienia się odbywały na takiej werandzie. To nawet starsze osoby przychodziły. Jeszcze pamiętam taką piosenkę: „Pod zielonym jaworem, jaworem stoi lipka zielona, a pod tą lipką piękna krakowianka...” To było takie bardzo miłe dla dzieci, kształcące. No to była fenomenalna ciocia. Mojej mamy siostra. A właśnie mojego ojca ściągnął do Warszawy, czyli zaproponował mu pracę, ojca przyjaciel, który mieszkał w Warszawie na Zamku Królewskim, dlatego że on był głównym konserwatorem zabytków Zamku Królewskiego. Wybitnie utalentowana osoba. Miałam takie szczęście razu pewnego, on chodził ciągle po tych salach zamku. I akurat przyjechaliśmy do niego, a on mówi tak: „Czy chciałabyś zobaczyć pana prezydenta?” No ja chętnie, wszędzie. No więc szliśmy, miał wejście od razu z domu, wchodził i szliśmy po tych pięknych salach zamku warszawskiego. No i idziemy, idziemy, to długo się szło. I nagle zobaczyłam uchylone drzwi. Więc oczywiście z ciekawości zaglądam, a ten pan mi mówi tak: „To jest właśnie pan prezydent, zobacz, jak ciężko pracuje” A ja nie widziałam ciężko pracującego, tylko siedział tak nad biurkiem zamyślony. Ja wtedy właśnie poznałam prezydenta Polski, pana Ignacego Mościckiego. To mógł być rok [19]28. W Warszawie mieszkaliśmy z pięć lat. Do tego momentu byliśmy w Warszawie, dopóki ojciec nie został zwolniony z pracy. Bo nastąpił w Polsce tak zwany kryzys. No jak to zaczęli zamykać firmy, zwalniali z pracy. Sytuacja gospodarcza była już potem taka bardzo zła, ludzie nie mieli pracy, kryzys, bezrobotnych było dużo. Taki był okres. To w całej Europie tak było. No ale nas interesowała wtedy Polska i nasza sprawa. No i nie było wyjścia, wyjechaliśmy z

Warszawy... Utknęło mi w pamięci wspomnienie urokliwych kobiet z Warszawy. Jakież piękne były te Warszawianki, zawsze pięknie ubrane, po prostu ten strój był urzekający. A ja taka mała dziewczynka, ale byłam bardzo uwrażliwiona na punkcie strojów. No te kobiety przedwojenne to były szalenie wycacane. Jakie piękne miały buciki, jakie piękne stroje, jakie uczesania, a te kapelusze, no były urokliwe. I ja dzięki temu jestem też w posiadaniu osiemdziesięciu pięciu kapeluszy. To tak mi pozostało, takie nawyki się zdobywa z dawnych czasów. Stolica wtedy była piękna... Piękna była ta Warszawa! Kiedyś widziałam fragment filmu pokazującego starą Warszawę. I to było ze zdjęć zrobione, ale to był autentyczny widok! Jak ja to zobaczyłam, to skoczyłam na równe nogi i patrzę, że ja widzę swoją dawną Warszawę. I to był fragment, koniec filmu, tramwaj, przed tramwajem stoi grupa ludzi. Wytworni panowie, panie w przepięknych kapeluszach. No Warszawa, moja Warszawa.

11. Po powrocie z Warszawy

Po tym braku pracy w Warszawie wracamy na swoje tereny, czyli właściwie do Trawnika, bo tam mieszkała babcia Walercia i dziewięcioro jej dzieci. Dziadek Andrzej był pracownikiem cukrowni właśnie w Trawnikach. Tam była cukrownia bardzo pięknie zagospodarowana i stały bardzo ładne domy dla pracowników. Takie czerwone z cegły, pamiętam to. I wokół był park, dużo zieleni. Pięknie tam było. Chodziłam do szkoły do Mogielnicy. To była trzyklasówka. Studia zaczęłam na trzyklasówce. Bo to była wieś ukraińska. A było zaledwie parę osób, chyba trzy czy cztery tylko rzymskokatolików. Szkoła była skromna, nieduża. I dwie panie, tam była pani dyrektor, właściwie kierownik się mówiło. Pani kierownik i pani nauczycielka, tak. No dla nas wtedy nauczyciel to był święta osoba. To nie było tak jak teraz, co się wszystko powie, co się chce, robi się jeszcze więcej. My byliśmy tacy skromni, jak trusie siedziałyśmy. I tylko wpatrywaliśmy się w tą osobę nauczyciela, jak w jakąś świętość. Szacunek był niesamowity. Niesamowity. Tak że jak ja już zostałam nauczycielem, już tego nie zauważyłam. Ale jeszcze ze mną było nie tak źle. Teraz jest podobno jeszcze gorzej. Ja tu w dwudziestej dziewiątej szkole uczyłam. No i potem w innych szkołach, w liceum dla dorosłych. Bo jeszcze kto się nie doksztacił, to tam kończył te studia takie. Tak że pracowałam bardzo usilnie, bo miałam półtora etatu tu w szkole i jeszcze wieczorem. O jedenastej wracałam do domu. Ciężko pracowałam całe życie, miałam dużo trudów. A wszystkie moje ferie to były albo obóz harcerski albo kolonia letnia. Oj, napracowałam się niesamowicie. Ale zebrałam dużo laurów za to. W tej Mogielnicy to takie były różne miłe też i przeżycia. To w ogóle krajobraz był przepiękny. Mieszkałam tak na rogu dróg, na rozstajnych drogach. Tu był przepiękny pałac. Jego właścicielem był pan Jankowski. Od czasu do czasu zimą i latem przyjeżdżały do babci Jankowskiej wnuki. Tam nie było takiego towarzystwa odpowiedniego dla nich, a one chciały się bawić też. I ten młody pan dziedzic, ten Jankowski, Stefan organizował nam takie zabawy, na górze w pokojach gościnnych. Przepiękne meble i olbrzymie fotele. On łączył te fotele wszystkie i robił pociąg.

Ciągnął, a myśmy jeździli. Potem wchodziłyśmy na strych. Co za wspaniała zabawa była na strychu! Stały stare szafy, kufrы wielgachne takie i pełne różnych rzeczy. No ja się dobrałam do kapeluszy niesamowitych. Potem były suknie tam złożone w tych kufrach. No to przebieraliśmy się. No i takie cuda się działy. To była najbardziej niezapomniana zabawa. Czego tam nie było! Latem to było przepięknie tam. Była taka oranżeria tak zwana. To taki mały domek, w którym hodowano wszystkie piękne kwiaty. No bajka. Ale ja to byłam taka dziewczyna jak chłopak. Po wszystkich drzewach chodziłam na szczyty. I naokoło tego pałacu rosły morwy białe i czerwone, różowe takie. No to ciągle na tych morwach siedziałam. A moja mama była bardzo surowa i co napsociłam, to lała, niesamowicie. I tak sobie myślałam, dlaczego mama taka jest. A no mama była dość nerwowa widocznie i tak nie wytrzymywała wielu rzeczy. I na zapas tak działała. No ale właściwie to mi na dobre wyszło wszystko, bo mama była pedantką i mnie nauczyła tej pedanterii życia, to prawda. No i kiedyś taka zrozpaczona po takim laniu siadłam w krzewach bzu, a ten bez był taki rozległy. I ja sobie tam zrobiłam taki pokój. Wyrzuciłam wszystkie rośliny niepotrzebne, postawiłam taborecik, stołeczki i tam chodziłam na takie rozmyślania, tęsknoty i moje wszystkie przeżycia tam analizowałam. No tak się schowałam. Ale to nie był jeszcze dobry schowek, bo słyszałam ludzi, którzy przechodzili, a ja szukałam kącika bezwzględnie takiego cichego. I wymyśliłam sobie, że będę siadała na najwyższej lipie. I tam siedziałam i tak myślę sobie: blisko Boga już jestem, w ciszy, nikt nie wie, gdzie ja jestem. Schowałam się. I tam rozmyślałam, co ja robiłam dobrze, a co robiłam źle. I co mam zrobić, żeby się poprawić, bo mama się denerwuje. I to było moje takie miejsce stałe na te wszystkie rozmyślania. Nikt nie wiedział nawet, że ja tam idę. Ale razu pewnego mama mi tak wlała, że ja się zdenerwowałam bardzo i postanowiłam z domu uciec. A wtedy przez naszą wieś bardzo często przejeżdżały takie tabory cygańskie. I taki tabor to było kilka tych wozów z takimi budami. No i ja myślę sobie, Boże, oni mi się podobają, to ja z nimi ucieknę. I tak sobie postanowiłam, że ja ucieknę. No i przyszedł ten moment, że oni są. To tam zawsze kurę ukradli, coś tam. Mama to nie lubiła tego. Ale mnie się coś tam podobało w nich i pomyślałam sobie, że ucieknę z nimi. Ale nie uczyniłam tego. Mój ojciec, jako że był taki pomysłowy, wymyślił wiatraki, które będą produkować elektryczną siłę. No i duma była nad tymi sprawami, sobie wykombinował to wszystko. Zrobił zebranie tych wszystkich mieszkańców tam. Bo to byli tak zwani koloniści. Oni mieszkali w polu, mieli dużo ziemi. I ci koloniści zrobili to zebranie i ojciec ich przekonał, że będą mieli super sprawę, jeżeli zrobią sobie te wiatraki. No to takie były trochę opory, to jeden chciał, drugi nie chciał. No w końcu się zgodziło kilku. I mój ojciec zaczął działanie z tymi wiatrakami. W tym roku to jeszcze nikt o tym nie pomyślał, bo myśmy przy świeczce i o takiej lampie cały czas byli. A ojciec im elektryczność załatwił, tym właśnie osobom. Potem, to był chyba [19]35, [19]36 rok, rodzice wyjechali na taką prowincję, do Kozic. Bo to Górne i Dolne były. To jest blisko Piask. Dlatego tam wyjechał, że ci gospodarze dowiedzieli się, że ojciec jest taki fenomenalny w tych

sprawach. Obiecali mu, że będzie mu dobrze jak w raju. No więc ojciec mój wybudował zakład. Wybudował! I rozpoczął tam pracę. I tam mieszkaliśmy, blisko takiej rodziny, oni się nazywali Ciuraje. I tak zaprzyjaźnili się z nami. Ja tam ciągle przebywałam, bo ich syn Jaś chętnie mnie woził. I co najbardziej wspominam z tych czasów, to jak jechałam tym wozem. To byli bogaci gospodarze, mieli dwa piękne konie, ten wóz był taki obfity, no wygodny, prawda. I ja jechałam o godzinie trzeciej, czwartej rano. No, co za wspaniałe to było przeżycie dla mnie. Jak ja widziałam, jak słońce wschodzi i ta rosa, i ten zapach. I taka świeża droga między tymi drzewami. I dlatego mi się to tak przypomina teraz, dlatego że żal mi tego wszystkiego. Że tak człowiek mógł jechać wśród zieleni, tych łąk, pięknych terenów. Ten brzask dnia, ta rosa, ten zapach, ta świeżość. No, jak dzisiaj widzę to i czuję, naprawdę. Teraz tą samą trasą jadę, to jest żelbet. Jeszcze teraz na domiar złego zrobili takie ściany ze szkła i jedzie się tymi drózkami, bo to jedni w tą, drudzy w tą. Już nie widzę zieleni, bo wycięta zieleni, nie ma zieleni. Już nie jeżdżę końmi, bo i nie mam ich, i nie mam samochodu nawet. To już jadę przy okazji z synem albo tam z kimś. Ale to wszystko, ten czar, to piękno, ten urok tej wioski, tego lata, tego zapachu, no nie do zapomnienia. I tam w tych Kozicach, mieszkaliśmy blisko dworu. Niedaleko domu wtedy był ten pałac, a konie tak jak gdyby przy płocie. I tu były strumienie tych źródeł. Przepiękne, bajkowe źródła. I wszyscy z wioski chodzili tutaj po wodę. Takiego uroczyska to ja jeszcze nie widziałam. Ale właśnie pamiętam, jak mnie podziwiano. Bo ja byłam wtedy w piątej klasie, a miałam mniej lat niż wszystkie inne dzieci. I ja nosiłam mamie wodę z tego źródła. To był spory kawałek drogi. W dole, a myśmy mieszkali na górze. I ja takie olbrzymie dwa wiadra wody nosiłam pod tą górę. To wszyscy stawali, a taka byłam mini dziewczynka, że ja to zdołałam... I nie wiem, skąd ja miałam tyle siły, no. I do takiego momentu chcę jeszcze zdążyć, jak rozpoczął się bardzo duży pożar na tej wiosce. No niesamowity. To było takie przerażenie dla ludzi wszystkich. I my też obawialiśmy się, bo już on się zbliżał w tym kierunku z wiatrem na ten nasz dom. No więc wszystkie rzeczy z domu wynieśliśmy na dół. A to była góra bardzo stroma. To ja na piętach zjeżdżałam, bo to mokre było wszystko i woziłam te rzeczy na dół, znosiłam. To nie tylko ja, bo to wszyscy to robili. Ale skąd myśmy mieli wtedy tyle siły, tyle energii. No, to był postrach straszny, bo ten pożar był nie do ugaszenia po prostu. Ale jakoś tam poradzili sobie i nam się nic nie stało. I to wszystko windowaliśmy na górę znowu. Takie przeżycia, to było wtedy bardzo takie poważne i przerażające. I pierwszy raz mnie spotkało coś takiego. No takie siły były wielkie.

| | |
|--------------------------------|------------------------------------------------|
| Data i miejsce nagrania | 2016-01-25, Lublin |
| Rozmawiał/a | Joanna Majdanik |
| Redakcja | Natalia Boczek |
| Prawa | Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN" |